DWA GROBY.

(OBRAZEK HISTORYCZNY.)

— Tak jest, drogie moje dzieci, mówiła matka do dwóch chłopczyków, z których starszy siedział nad książką, a młodszy szabelką się bawił, pradziad wasz wielkim był wojownikiem.

— Szkoda że nie żyje, nauczyłby mnie strzelać, odezwał się młodszy, Henryk.

— Powiedz matko, jak się nazywa to miasto, które ocalił od nieprzyjaciół krzyża, zapytał starszy, Karol.

— Wiedeń, odpowiedziała matka ze łzą, którą wywołało w jéj oczach pełne czci bohaterskiego dziada wspomnienie.

— Onby nas prędzéj zaprowadził do naszego królestwa, niż wszyscy przyjaciele mego ojca, rzekł znowu Karol.

— Przyjaciele twego ojca robią co mogą, mój synu, lecz w ręku Boga są losy królów i narodów. Obowiązkiem naszym jest robić co się da, a przyjmować z pokorą co Bóg dopuści. Tymczasem, moje dzieci, uczcie się i pracujcie, czekając na wasze przeznaczenie.

— Matko, ja już umiem komplement, którego mnie nauczyła dla ojca na powitanie.

— Dobrze mój Karolku. Skoro dadzą znać że pojazdy już się zbliżają, zejdziesz ze schodów i będziesz czekał ojca u drzwi wchodowych, gdzie go pierwszy powitasz. Ty Henryku zostaniesz przy mnie. Pamiętajcie być grzeczni, gdyż ten dzień połączenia się z ojcem, jest dla nas bardzo uroczystym. Dla mnie szczególniéj, co go tak dawno nie widziałam.

— Nas też długo nie widziałaś, a nam tak bardzo było tęskno, że mama nie chciała z tego brzydkiego czarnego klasztoru do nas przyjechać, wołał młodszy Henryk, rąk jéj się czepiając.

Matka westchnęła ciężko, przyciskając dziecię do piersi. Niepodobna jéj było tłomaczyć mu przyczyn swego oddalenia i pobytu w klasztorze, rzekła więc spiesznie powstając.



Prawnuk króla Jana Sobieskiego, Karol Edwart Stuart.

(w ubiorze jaki nosił w czasie swojéj wyprawy na brzegi Szkocji)

— Idźcie się ubierać — za dwie godziny najdaléj ojciec tu będzie.

Z powyższéj rozmowy łatwo przyszło czytelnikowi się domyśleć, że ten wspomniony pradziad był nasz rycerski król Jan, a pra-

wnukami młodzi Stuartowie, synowie Klementyny Sobieskiéj.

Był to właśnie rok 1728, dzień 7 stycznia, dzień rzeczywiście ważny w rodzinie Pretendenta ([1]) bo w nim dokonało się ostateczne jego pojednanie z żoną, po dwóch latach rozłączenia. Jakób Stuart człowiek nadzwyczaj poziomy, nigdy nie umiał ocenić dostatecznie wysokich swéj żony przymiotów, otaczał się nieprzychylnemi jéj faworytami swemi, ubliżał jéj na każdym kroku. Nie mogąc już dłużéj wytrzymać Klementyna, usunęła się do klasztoru Śéj Cecylji w Rzymie, gdzie podówczas mieszkali oboje. Opinja publiczna stanęła po jéj stronie, nietylko w Anglji między Jakobitami ale i w innych krajach. „W Rzymie, od papieża do ostatniego pielgrzyma—pisze w pamiętnikach swoich książe d'Ormond—wszyscy oświadczyli się za sprawą królowéj."

Papież wysłał do niéj do klasztoru pięciu kardynałów z powitaniem, polecając im zarazem, żeby się starali pojednać zwaśnionych małżonków. Król hiszpański, Filip V, łajał pretendenta bez ogródki, grożąc mu odjęciem wszelkich zasiłków, (wiadomo że dwory katolickie składały się na utrzymanie Jakóba Stuarta, wypłacając mu pensję roczną). Żona Filipa, Elżbieta, pisała do Klementyny. „Dobrze robisz moja duszko—nie daj się traktować jak ostatnia sługa etc. etc."

Jakób z początku lekceważył sobie potępienie ogólne jego postępowania. Nie ukazywał się inaczéj publicznie, jak w towarzystwie ulubieńców swoich lorda Inwerness i jego żony, dawał bale na których pani Inwerness robiła honory domu, ale gdy nareszcie najgorliwsi jego stronnicy w Anglji, zaczęli stanowczo nalegać na połączenie się jego z żoną, twierdząc, że bez tego żadnego powodzenia sprawie swojéj rokować nie może, Jakób uczuł, że należy coś poświęcić osobie tak powszechnie cenionéj i szanowanéj, posłał jéj więc naprzód dzieci, których widzenia długo jéj odmawiał, a potem usunąwszy lorda Inwerness i jego żonę, czego dawno wymagała Klementyna, wezwał ją do siebie do Bononji, gdzie przybyła wraz z dziećmi do mężowskiego pałacu, ale jego samego nie zastała; wyjechał spiesznie do Awenionu, w interecie sprawy swojéj jak donosił, lecz w rzeczywistości dla zobaczenia się z Inwernessami, którzy tam przebywali.

Nakoniec na wspomniony dzień 7 stycznia, Jakób zapowiedział swój powrót do Bononji—żona jego poszła przywdziać szaty stosowne do jéj godności, od kilku lat bowiem nawykła nosić odzież najskromniejszą a żywić się prostemi tylko potrawami. Teraz jednak należało jéj wystąpić w majestacie królowéj angielskiéj, przed małżonkiem który dbał o to, któremu monarchowie katoliccy przyznawali tytuł króla, a otaczający nie przemawiali doń nigdy inaczéj, jak „Najjaśniejszy Panie."

Wkrótce też między tłumami, co jak zwykle tłumy, szukając widowiska przed pałacem Stuartów czekały, rozlekł się głos „król jedzie" i niebawem zajechały trzy karety z Jakóbem i dworzanami jego. „Najjaśnieszy Panie! dzień ten radosny....." zaczął prawić do wchodzącego na marmurowe schody siedmioletni Karolek, lecz ojciec nie dał mu skończyć, pochwycił w swe ramiona, uściskał czule, i wziąwszy za rękę szedł do pokojów żony.

Klementyna miała zaledwie lat 26 i zachowała cały powab pierwszéj młodości. Chcąc utworzyć sobie niejakie o niéj wyobrażenie, posłuchajmy świadectwa jednego protestanta, barona Pölnitz, znanego w swych czasach podróżnika. „Królowa Wielkiéj Brytanji wygląda na prawdziwą królowę. Nie jest to piękność pierwszego rzędu, ale całą jéj postać otacza wdzięk niewymowny. Jéj charakter posłużyć może za wzór doskonałości; rzadko osoby z podobną słodyczą a przytem pokorą. Tak jest usłużna, miłosierna i pobożna, że ją można uważać za świętą. Co dziwniejsza, że przy całéj swojéj bogobojności, nie afektuje ceremonialnéj dewocji i nie okazuje wstrętu do osób odmiennéj wiary; radaby je nawrócić, ale tylko dobrym przykładem i słodyczą, zresztą umysł niezmiernie bystry i pamięć nadzwyczajna.

Klementyna tedy chcąc dogodzić miłości własnéj męża, uwieńczyła dnia tego czoło małą koroną ze złota i diamentów, szkarłatny płaszcz spływał po jéj ramionach ku ziemi, pozwalając widzieć suknię z ciężkiéj jedwabnéj materji. Obnażoną szyję zdobił przepyszny kanak z drogich kamieni niesłychanéj wartości, zapisany jéj testamentem przez kardynała Aquaviva. Gdy zobaczywszy męża postąpiła ku niemu z uśmiechem i chciała przyklęknąć, była tak piękną i zajmującą, że Jakób pośpieszył ją podnieść, przycisnął do piersi i pocałował. Było to jakby przypomnienie dawnéj miłości jaka ich łączyła, a przynajmniéj pragnienia wytrwania w zgodzie były szczere ze stron obu.

Czternaście miesięcy przebyli Stuartowie w Bononji; tam im się urodziło dziecko, które wkrótce umarło—następnie wrócili do Rzymu, gdzie Klementyna prowadziła daléj tryb życia klasztorny, w ciągłych postach, modlitwach i umartwieniach, ucząc dzieci, zwiedzając szpitale, oddając wszystko ubogim co od jéj skromnych potrzeb zbywało.

W siedm lat późniéj, bo 1735 roku, także w styczniu widzimy znowu młodych Stuartów

---

([1]) Tak zwykle zwano Jakóba Stuarta, syna Jakóba II króla angielskiego, co przekazał synowi prawa do tronu z którego go wygnano.

przy matce, ale w jakże odmiennem usposobieniu!... Ona leży śmiertelną złożona chorobą i gasnącemi oczyma wodzi za temi przedmiotami gorącéj miłości swojéj, którychby rada ostatniemi przestrogami utwierdzić w dobrem na zawsze. Ojciec ich, mimo jéj nalegań, chcąc się zalecić opinji publicznéj w Anglji dawał im raz przewodników protestantów, to znów ulegając napominaniom papieża i króla hiszpańskiego do nauczycieli katolików powracał. Klementyna obawiała się dla nich nietyle odmiany wiary, ile téj obojętności i oschłości która z zachwianych przekonań religijnych wypływa. Zkąd inąd miała prawo być dumną szczególniéj ze swego syna starszego, który tylko co powrócił z obozu pod Gaetą, gdzie w wojnie Hiszpanji z Austrją dokazywał, mimo młodocianego wieku, cudów waleczności. Powrócił do matki, którą nad wszystko miłował z bijącem radością sercem, niosąc jéj laury swéj chwały wojennéj, a ona mogła sobie powiedzieć że jéj Karol jest nieodrodny prawnuk jéj wielkiego dziada. Lecz oto razem z pierworodnym stanęła u jéj łoża śmierć nieubłagana i trzeba było porzucić wszystkie nadzieje przyszłości złożone na téj ukochanéj głowie. Lecz Klementyna zbyt prawdziwie była pobożną, aby się nie umiała ukorzyć przed wolą Boga—ze spokojem więc spoglądała na zbliżenie się ostatniéj godziny. Gdy wyszedł kardynał Guadani przeznaczony do dysponowania ją na śmierć od samego papieża, rzekła pewnym głosem do otaczających:

— Poproście do mnie króla i dzieci.

I wszedł Jakób Stuart blady i przybity smutkiem; w ponurym wyrazie jego oblicza dawały się odgadywać wyrzuty sumienia, że nie umiał cenić tego przyjaciela, który go teraz miał opuścić na zawsze. Młodszy syn Henryk miał twarzyczkę zasępioną tym smutkiem dziecięcym który niknie tak prędko, ale u starszego Karola, w szeroko roztwartych, łzawych oczach, malowała się rozpacz....

— Przebacz mi Najjaśniejszy Panie, odezwała się Klementyna łkając i wyciągając ręce do męża wszystkie urazy, jako ułomnéj grzesznicy.... a widząc że łzy z oczów ociera dodała słodko—nie smuć się że mnie tracisz—wszak zostawiam ci część siebie saméj. I wyciągnęła rękę wskazując na dzieci, a Karol przypadł do jéj kolan i szlochając całował tę rękę drogą.

— Drogie moje dzieci! pamiętajcie na krew jaka w was płynie, naśladujcie cnoty waszych przodków i pozostańcie wierni Bogu, którego was czcić nauczałam... Żegnam was!... i chwilowo przymknęła oczy zbierając upadające siły.

— Pragnę się pożegnać ze wszystkiemi, odezwała się znowu, niech tu przystąpią wszyscy nasi poczciwi domownicy. Weszli—przemówiła do niektórych, rozdała im upominki, o darowanie urazy jeżeli jaką do niéj mieli, prosiła i tracąc głos znowu wzniosła wychudłą rękę robiąc nad niemi znak błogosławieństwa.

W godzinę potem w pałacu Stuartów rozlegał się płacz nieutulony, a spowiednik papieża Klemensa XII, wszedł do jego gabinetu z doniesieniem, że królowa Wielkiéj Brytanji oddała Bogu ducha.

Papież otarł łzę żalu i rzekł smutnie, że Niebo odbiera stolicy chrześcijaństwa jéj najcelniejszą ozdobę.

Jakóba Stuarta dostrzeżono w kościele OO. Jezuitów korzącego się w prochu przed ołtarzami Pana nad Pany, syn zaś starszy pozostał przy zwłokach matki nie przyjmując pokarmów, nie poddając się potrzebie spoczynku, blady i nieruchomy jak te zwłoki nieżywe, tak, że powzięto niepłonne obawy o stan jego zdrowia.

Ojciec Sty postanowił wyprawić zmarłéj pogrzeb z okazałością monarszą i pochować ją w bazylice Śgo Piotra obok Matyldy i Krystyny dwóch ukoronowanych niewiast, najwięcéj zasłużonych katolickiemu kościołowi. Z dniem śmierci Klementyny zamknięto wszystkie teatra. Przeznaczony na nabożeństwo żałobne kościół ŚS. Apostołów ubrano w czarny aksamit bramowany złotemi galonami, na którym błyszczały herby trzech królestw: Anglji, Szkocji i Irlandji.

Ciało zmarłéj odziano w złotolite szaty królewskie; dano jéj berło w rękę, koronę na głowę i płaszcz purpurowy, słowem wszystkie insygnia władzy monarszéj, które jaśniały zdaleka wśród rzęsisto oświeconego katafalku. Jedni biegli podziwiać ów przepych, drudzy pragnęli zbliżyć się do szczątek śmiertelnych istoty, którą uważali za świętą. Po jéj śmierci, otaczający rozerwali między sobą koszulę w któréj umarła, przypisując jéj własności cudowne. Rzym przepełniony był opowiadaniami nadzwyczajnych uzdrowień, jakie szmatki z téj koszuli sprawić miały tu i owdzie. Tak to nawet w XVIII wieku wielkie cnoty podniesione zostały do ideału cudowności, a tym sposobem pamięć ich żyła daleko dłużéj w sercach prostaczków.

Przy huku dział bijących z twierdzy Śgo Anioła, poprowadził kondukt żałobny, sławny niegdyś hiszpański minister, stateczny zmarłéj przyjaciel, kardynał Alberoni w assystencji wszystkich władz duchownych i świeckich. Gdy z kościoła ŚS. Apostołów przybyto do bram bazyliki Śgo Piotra, stało się zadość ostatniemu świętobliwéj niewiasty życzeniu. Zdjęto z jéj ciała wszelką oznakę świeckiego dostojeństwa, a włożono habit dominikański skromny i prosty jak jéj czysta dusza.

W połowie ośmnastego wieku, Florencja była tak jak zawsze miastem marmurowych pałaców, przybytkiem sztuki i roskoszy, i możni panowie przyjemne w niéj wiedli życie. Tak *np:* u hrabiego Albany zebrało się grono najsławniejszych muzyków, bo sam hrabia gra jak artysta na violonczelli, a brat jego mimo swéj duchownéj szaty, śpiewak nie lada. Grono dam strojnych i wesołych przyklaskuje obu braciom, a gospodarz wnosi częste toasty na cześć sztuki i miłości. Policzki jego czerwienieją mocniéj od szaty szkarłatnéj haftowanéj złotem, którą ma na sobie; niebieska wstęga orderu Sgo Jerzego opasująca mu ramię, wskazuje wysoką godność, któréj wyraz już znikł z jego rozognionego winem oblicza. Lecz oto przebiegając pokoje, jedna z dam dostrzega portret dorodnego mężczyzny w szkockim stroju i dopytuje ktoby był ten śmiały młodzian, a pomieszanie gospodarza stało się tak wielkie, że jeszcze w purpurę wstydu już i tak rumiane policzki jego oblec zdołało; jego to bowiem był portret robiony wtedy kiedy przed kilkoma laty wylądował na brzegi Szkocji i bohaterskiemi usiłowaniami starał się odzyskać prawa swoje do tronu. Między tym młodzieńcem, który nawet wśród niepowodzeń umiał się okazać godnym pamięci przodków, tym dzielnym wojownikiem który wolał się raczéj wyrzec swoich nadziei niż dłużéj narażać swoje stronnictwo a dzisiejszym pognębionym wygnańcem, który pod skromną nazwą hrabiego Albany zagrzebał świetne swe przymioty wraz z widokami przyszłości, co za przepaść!... Nawet lica dziś obrzękłe i blade zupełnie się zmieniły. Błogosławiona snać jego matka kiedy jéj danem było tak wcześnie zasnąć na wieki i nie patrzeć na to poteranie najdroższych swoich nadziei. Syn pełnéj przymiotów Klementyny Sobieskiéj, prawnuk Jana, oddany zniewieściałości i pijaństwu!!... Jakże często nie dopisuje wiek dojrzalszy temu co obiecywała młodość...

Zwątpienie, rozpacz i bezczynność zabiły moralnie Karola Edwarda Stuarta, zwanego powszechnie drugim pretendentem przez ojca zaś i stronników księciem Galji. Wino stało mu się kordjałem którym swoje troski zakrapiał. Młodszy Henryk znany pod imieniem kardynała Jork, zdawał się nie mieć innéj ambicji jak zbieranie pieniędzy i to mu się lepiéj wiodło, niż jego ojcu i bratu osiągnięcie tronu angielskiego. Lecz po śmierci brata nastąpionéj w r. 1788, to jest zupełnie lat sto po detronizacji jego dynastji w Anglji, został kardynał Jork trzecim z kolei pretendentem do korony angielskiéj. Zaprowadził w swym domu etykietę monarchiczną i na pamiątkę rozpoczęcia swego panowania kazał wybić medal wyobrażający z jednéj strony jego popiersie z napisem: *Henryk IX król Wielkiéj Brytanji*—z drugiéj: postać niewiasty trzymającą krzyż i biblję, oraz postać lwa składającego u jéj nóg koronę i kapelusz kardynalski—w perspektywie bazylika Sgo Piotra, w około zaś napis w języku łacińskim! *Nie według życzenia ludzkiego, lecz wedle woli bożéj* r. 1788. Zdaje się jednak, że podobne z jego strony postępowanie miało tylko na celu korzystniejsze z dynastją hanowerską układy, nie zdawał się bowiem mieć do niéj urazy i przyjął pod pozorem długu za posag babki traktatem zapewniony, pensji rocznéj 4,000 funtów szterlingów. Podobne propozycje rządu angielskiego brat jego Karol Edward stale odrzucał.

Henryk Stuart umarł ośmdziesiąt dwu letnim starcem w r. 1807, a papiery jego rząd papiezki przesłał w 1815 w darze księciu regentowi angielskiemu, który w kilka lat później dla uczczenia zgasłéj dynastji, która dom jego niepokoić przestała, wystawił wszystkiem trzem pretendentom w bazylice Sgo Piotra piękny pomnik grobowy dłuta Kanowy, z białego kanaryjskiego marmuru, w kształcie piramidy z trzema medaljonami wyobrażającemi ich twarze. Napis łaciński brzmi jak następuje:

Jakóbowi III, synowi Jakóba II króla Wielkiej Brytanji, Karolowi Edwardowi i Henrykowi Kardynałowi synom Jakóba III, ostatnim potomkom królewskiego rodu Stuartów. Roku 1819. Błogosławieni umarli, którzy w Panu zasnęli (¹).

Przy ścianie przeciwległéj stał już od lat kilkudziesięciu pomnik drugi z prześlicznym mozajkowym wizerunkiem kobiety. To portret Marji Klementyny Sobieskiéj, matki ostatnich potomków gasnącéj Stuatów dynastji; pochodzącéj także z rodu który już wypowiedział ostatnie słowo swego znaczenia w historji, a upadek jak tego tak i tamtych zapowiedziany był zniedołężnieniem pojedynczych każdego przedstawicieli. Ona sama tylko świeci na tym ściemnionym horyzoncie niepospolitym hartem duszy i rozumem, ale jéj pole działania także ścieśnione, a przykład jéj i słowa nikogo już do działalności zbudzić nie były w stanie.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

(¹) Wszystkie szczegóły historyczne czerpane są z zajmującéj i sumiennéj pracy Karola Hoffmana p. t. *Historja upadku dynastji Sobieskich*, drukowanéj w odcinku Gazety Polskiéj w r. 1862 i 63.

BOHATERSTWO DNI NASZYCH.

(OBRAZEK ŻYCIA WARSZAWSKIEGO)

napisany przez **Stanisława Gargulskiego.**

I.

Miłość bliźniego.

Są zdania malujące szczęście cudze; ale na wyrażenie cudzéj niedoli, dosyć jest jednego wyrazu. Mówiąc o kobiecie: *wdowa*, już tem samem przedstawiamy sieroctwo, nadzieję zawiedzioną i smutne wspomnienia.

Te myśli biegną nam pod pióro, mając mówić o pani Janowej, wdowie po urzędniku z powiatu, i siostrze jéj pani Piotrowéj, wdowie po budowniczym wolno praktykującym.

Obie siostry ze śmiercią mężów, zjechały się do swego ojca gospodarującego na dziedzicznym gruncie małego folwarczku. Smutek téj rodziny rozpraszał widok ośmioletniéj Kasi córeczki pani Janowéj, i czteroletniego Józia synka pani Piotrowéj.

Czas osuszył łzy siostr obu, po stracie swych mężów płynące.

Dnie schodziły im jednostajnie przy zajęciu gospodarczem u ojca, także wdowca, i przy pieczy około dzieci swoich.

Obie wdowy w stanie swym osamotnionym, szukały opieki pod dachem ojca, ale opieka ta była wątłą. Ojciec ich był w wieku podeszłym, siły go opuszczały, i czas wiecznego spoczynku zdawał się zbliżać po trudach pracowitego żywota.

Dnie, miesiące i lata upływały jednostajnie w wiejskiem zaciszu. Córeczka pani Janowéj poczynała już rok trzynasty, a synek pani Piotrowéj rok dziewiąty. Brak środków kształcenia tych dzieci na prowincji, był powodem umartwień dla obu matek.

Ale cięższe czekały je kłopoty.

Ojciec ich po krótkiéj słabości oddał Bogu ducha, a obie siostry widząc się znów bez opieki, nie mogły poradzić sobie z gospodarstwem polnem.

Do tych wszystkich kłopotów łączył się jeden jeszcze, ale bardzo ważny, bo wszystkie uwydatniający.

Obie siostry kochały się wzajemnie, ale zgodzić się ze sobą nie mogły; ztąd powstały nie burze wprawdzie, ale chmury życia domowego.

To pożycie siostr obu, nie było wynikiem braku wzajemnéj delikatności. One obie nie odebrały światowego wychowania; nie mówiły po francuzku, nie śpiewały, nie grały na fortepjanie—ale wychowane były w miłości bliźniego i umysły ich ukształcone wielostronną wiedzą, wpływały na delikatność uczuć i na serca przepełnione towarzyskiemi cnoty.

Czemuż jednak zgodzić się ze sobą nie mogły?

Oto szkoła życia, pomimo jednakowego wychowania, różny wpływ na nie wywarła.

Pani Janowa, szła krokiem pewnym przez drogę życia. Mąż jéj był urzędnikiem, miał pensję oznaczoną, i do niéj też dobra gospodyni oznaczała swoje wydatki. Przez bieg pożycia małżeńskiego nie znała pani Janowa niedostatku; wymagania jéj były skromne, a zaspokojenie ich naprzód oznaczone. Żadnych nadziei polepszenia bytu nie miała nigdy, i zdaje się nie pragnęła zmiany swéj jednostajności wśród błogiego spokoju.

Jednakże każdy ma jakieś pragnienia—każdy żyje nadzieją przyszłości.

To też i pani Janowa dożyła do zbiorów, i rada była chwytać ziarnko po ziarnku, lubo w niezmiernéj odległości napotykane.

Ziarnka te zbierała ona z usilnéj pracy w gospodarstwie domowem; z oszczędności nie posuniętéj do skąpstwa, lecz nie dozwalającéj cienia marnotrawstwa.

Ze śmiercią męża, obok smutku jaki zaciemnił jéj dni jednostajne, szła przecież pewnym krokiem przez drogę dalszego życia. I teraz pewność nie opuszczała ją, i teraz mając wyznaczoną sobie emeryturę, mogła według niéj oznaczyć swoje wydatki.

Pani Janowa w domu ojca swego, szczerze zajmowała się pracą. Ona była duszą gospodarstwa; wszędzie zajrzała, do wszystkiego przyłożyła rękę; nikt nie widział jéj próżnującéj, zamyślonéj.....

Pani Piotrowa inną szkołę życia przebyła.

Będąc żoną budowniczego, dzieliła niepewność bytu swego męża, zarabiającego prywatnie swój chleb powszedni. On podejmował się stawiania budynków na żądanie osób prywatnych; korzyść w tem zależała od wielu okoliczności. To życie stało się szkołą dla pani Piotrowéj. Ona dzieląc byt męża, wyrobiła w sobie charakter rezykowny, przedsiębierczy. Zdania jéj czynione w zawodzie męża, były trafne—ale kto inny je dokonywał; ona więc stała się przedsiębierczą, ale nie pracowitą.

W miarę wypadków nieprzewidzianych, rosły lub malały dochody pani Piotrowéj. Prze-

bywało się wiele kłopotów po krótkich uciechach; pragnęło się tylko korzyści mogących wiele zapewnić, a pod ten czas opuszczało się drobne ziarnka. Często te korzyści były tylko błyszczącym sychem, ale zdala go widząc, biegło się naprożno, i w dalszym czasie znów wypadło biedz za samem złotem.

Nie zawsze zyskuje sie na rezykowaniu, często też traci się na niem; a pracą powolną dochodzi się pewności naprzód oznaczyć się mogącéj.

Pani Piotrowa ze śmiercią swego męża zmuszoną jeszcze była spłacić długi po nim pozostałe—siostra jéj powolną pracą i oszczędnością, nie napełniała wprawdzie swéj miarki, ale może dno jéj pokryła.

Pani Piotrowa przybywszy w dom ojca ze śmiercią męża swego nie umiała albo też nie chciała niczem tu zająć się—w zamian wiele projektowała, wiele zdań wnosiła, a to wszystko drażniło jéj siostrę.

Pani Janowa była pracowitą; dzień cały zajęta była igłą lub gospodarstwem—a widząc lepszość w zbieraniu ziarnek, nie chciała słuchać przedsiębierczych rad siostry.

To były chmury pożycia domowego siostr obu. Chmury te jakkolwiek lekkie, zaciemniały jednak firmament ich życia—a zaciemniały zwłaszcza ze śmiercią ich ojca.

Trzeba było coś radzić w rzeczy saméj, aby żyć zgodnie ze sobą, nie tracić na gospodarstwie i kształcić umysły swoich dzieci.

I tak sobie poczęto:

Folwarczek dziedziczny sprzedano i obie siostry przeprowadziły się do Warszawy na stałe zamieszkanie.

Za ojcowiznę zebrano dwadzieścia kilka tysięcy złotych. Pani Janowa jako wdowa po urzędniku, miała emerytury tysiąc złotych rocznie; część więc ojcowizny zamieniwszy na listy zastawne, mogła spodziewać się procentu około 400 zł. co razem z tysiącem dozwalało jéj żyć skromnie w Warszawie i dać edukację swéj córce.

Dla pani Piotrowéj trudniejsze było zadanie. Ona nie pobierała emerytury; kapitalik posiadany miał zapewnić jéj byt i przyszłość jéj syna. Poczęła też rozwijać swe plany przedsiębiercze na przyszłość, lecz siostra jéj nie uważając ją zdolną do wprowadzenia ich w życie, zdołała odwieść od wszelkich marzeń. Skończyło się jednak na pewnym rodzaju rezyki dla osiągnienia większych korzyści. Kapitalik dziesięć tysięcy złotych, będący własnością pani Piotrowéj, został umieszczony u pana barona, jednego z dziedziców w sąsiedztwie, który płacił mierny procent po 6% ale płacił rzetelnie i nawet łaskę temu robił od kogo przyjął pieniądze.

Teraz poczęło się nowe życie dla siostr obu.

Przybywszy do Warszawy, wynajęły dwa pokoiki z kuchenką na drugiem piętrze od podwórka przy ulicy S-to Jańskiéj, naprzeciw kościoła Fary, lub też po Jezuickiego. Działo się to w r. 184*, to zatem miejsca i daty nie pamiętamy dokładnie, a na dokładności wiele nam tu nie zależy. Obie siostry razem zamieszkały, a było to oszczędniéj dla nich, i zdaje się nie było o co spierać się w szczupłem gospodarstwie warszawskiem.

Po przyjeździe do Warszawy, pani Janowa posyłała swoją Kasię na pensję żeńską, a siostra jéj swego Józia do prywatnéj szkoły męzkiéj. W domu trzeba było zająć się czemciś obu siostrom; gospodarstwo warszawskie na kilka osób mieszczących się w paru pokojach, nie wymaga dwóch gospodyń. Pani Piotrowa zaczęła znów rządzić i projektować, wypadło ztąd, że można było w Warszawie zająć się robotkami ręcznemi i takowe sprzedawać do sklepów. Pani Janowa usłuchała téj rady, wzięła się szczerze do robótek, wstawała rano i późno szła na spoczynek. Siostra jéj swemi rządami nie wiele przynosiła jéj pomocy, bo wreszcie i nabywców ręcznych wyrobów nie trzeba było poszukiwać, raz zabrawszy z niemi znajomość.

W Warszawie żyje się z grosika. Pani Janowa miała emeryturę, procent od listów zastawnych i dochód z ręcznych robótek; to wszystko stanowiło jéj około dwa tysiące złotych rocznie. Wystarczało to na skromne utrzymanie się i zapewnienie dziecku edukacji. Pani Piotrowa miała tylko 600 zł. rocznego procentu, który w ratach kwartalnych po zł. 150 odbierała od jednego z kupców zbożowych na rachunek pana barona, jak to było przez niego przekazanem. Ta różnica majątkowa obu siostr, obok jednakowych wydatków, niepokoiła panią Piotrowę. Z początku obie siostry miały węzełki z pieniędzmi srebrnemi, a także bileta bankowe w starych książkach do nabożeństwa. Pani Piotrowa wydatkowała na równi z swoją siostrą..... ale trzeba było w przyszłość zajrzeć. Biedna wdowa przewidywała, jako idąc ciągle tą drogą, stanie się kiedyś ciężarem dla swéj siostry. Procent był zbyt mały na jéj utrzymanie, a także utrzymanie i edukację jéj syna—naruszyć kapitalik...... jakaż przyszłość po wyczerpaniu tego skromnego źródła? Obie także siostry mieszkając teraz dość ciasno w Warszawie, często też i wadziły się ze sobą. Jak to było na prowincji, tak i w Warszawie powtórzyło się; pani Piotrowa rządziła, a siostra nie chciała jéj słuchać. Zdawało się, że w Warszawie nie będzie powodu nieporozumień zachodzących na prowincji w skutek tamtejszego gospodarstwa, ale pomyliły się

w tem zamieszkując jak wspomnieliśmy jedno mieszkanie przez oszczędność.

Obie siostry w równych połowach wydatkowały na utrzymanie domu. Pani Janowa nie żądała tego wyraźnie od biedniejszéj od siebie siostry, jednakże...... jakoby tego żądała.

Czyliż to zganić jéj mamy?

Ona wszakże miała córkę na którą wypadało wydatkować i dla jéj dobra żyć saméj oszczędnie. Ona dla tego dziecka zajmowała się robótkami ręcznemi, a miałażby część téj pracy udzielać próżnującéj siostrze? Czyliż zarzucimy pani Janowéj brak miłości bliźniego?

Z politowaniem niejako, mówimy o ludziach gotowych ostatek oddać dla cierpiącéj ludzkości. Tacy ludzie są miękkiego charakteru— w tym razie pani Janowa okazywala hart duszy! Czyli jest w tem słuszność? przekonamy się w ciągu naszego opowiadania.

Wspólne wydatkowanie przy nierównym stanie majątkowym, było przykrem z widoków na przyszłość dla biedniejszéj siostry. «Bodaj się dobrze mieli nasi, abyśmy tylko nic od nich nie potrzebowali.» To zdanie wpoił w nas brak miłości bliźniego, a o nabycie tego skarbu duchowego tak mało wszyscy dbamy, że zarzucanie komuś tego braku byłoby dopatrywaniem dźbła w oku brata.

Pani Piotrowa, raz jeszcze powiemy, była pomysłową. Tworzyła też różne plany swéj przyszłości, i w téj myśli powiedziała dnia jednego do swéj siostry:

— Moja siostro! Ja myślę co począć daléj ze sobą. Mam jeszcze tysiączek złotych w gotówce, to wypadało co przedsięwziąść. Gdyby odebrać od barona swój kapitalik i założyć sklep jaki..... ale można by zbankrutować. Nie mam żadnéj praktyki w handlu, a uczyć się kosztem własnym, zbyt byłoby drogo. Gdyby też założyć sklepik z wiktuałami..... ale to znów nie dla mnie tak pospolite zajęcie.

— Siostra ma zawsze wiele projektów, przerwała jéj pani Janowa, ale do wykonania ich sama nigdy ręki nie przyłoży.

— Siostrze łatwiéj tak mówić mając emeryturę. Dodawszy do niéj mały procencik i jaki jeszcze zarobek, można już być spokojną o przyszłość, ale ja posiadając mały tylko procencik, muszę coś przedsiębrać, co byt dla mnie i dla mego syna stanowiłoby.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POGADANKI PEDAGOGICZNE.

ĆWICZENIA ZMYSŁÓW U DZIECI.

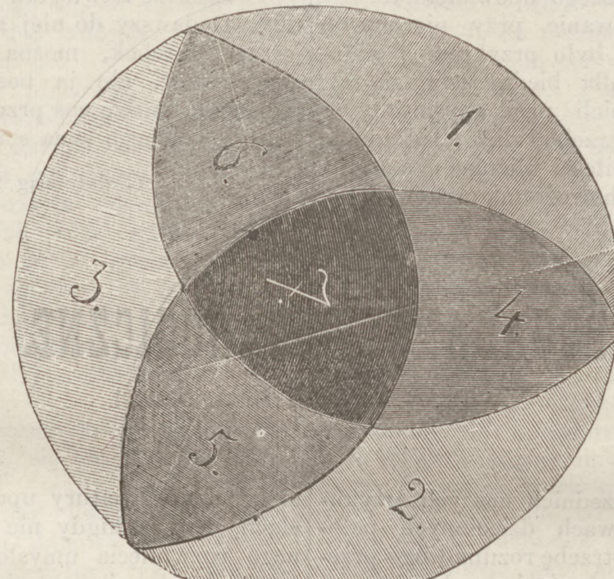
W jednym z poprzednich naszych artykułów mówiąc o zabawach dziecinnych położyliśmy nacisk na potrzebę rozumowego przeprowadzenia w ich budowie i urządzeniu—zasady pedagogicznéj. Obecnie pójdziemy krok daléj aby wykazać sposoby ćwiczenia zmysłów, tych narzędzi duszy, ćwiczenia systematycznego od najwcześniejszéj młodości, celem osiągnięcia tego co jest doskonałością w życiu: panowania duchem nad materją. Że takie ćwiczenie zmysłów z pewnym planem prowadzone, jako część wychowania jest rzeczą pożyteczną i możliwą, nie potrzebujemy długo dowodzić, czyż byśmy bowiem w zdrowych dzieciach nie mogli ulepszyć ich władz zmysłowych, kiedy sztuka i umiejętność dokonywa tego z dziećmi pozbawionemi od urodzenia jednego lub kilku zmysłów? Nikt zaś zapewne nie wątpi że najistotniejsze władze naszéj duszy zyskują niezmiernie na rozwinięciu zmysłów, na ich doskonałem wykształceniu. Powiemy nawet iż na odwrót bez tego wykształcenia naszych zmysłów, niepodobna spodziewać się zupełnego rozwinięcia umysłowego. Najprostsze zastanowienie się nad ludzmi z natury upośledzonemi na zmysłach, uczy iż nigdy nie dochodzą oni zupełnego rozwinięcia umysłowego. Głuchoniemi od urodzenia nie słyszą dzwięków a zatem pozbawieni są wymiany myśli za pomocą mowy i słuchu, oraz tych wszystkich wrażeń, jakie przy bezpośredniem mówieniu się rodzą. Ślepi od dzieciństwa nawet obok delikatności innych zmysłów, nie mają pojęcia o kształcie i przestrzeni, o kolorze i wielu innych własnościach przedmiotów. Nawet sny ślepych są bezbarwne i bezkształtne. Jeden z lekarzy angielskich opowiada o pewnym niewidomym od urodzenia, iż po operacji która mu wzrok przywróciła, chory został oszołomiony widokiem świata. Z trudnością rozpoznawał odległość, i sądził że wszystkie przedmioty które spostrzegał dotknie rękoma. Właściwy kształt przedmiotów, był mu nie znany, tak iż mięszał je biorąc jedne za drugie. Kiedy mu pokazano sprzęty z któremi poprzednio miał już do czynienia, których nawet używał codziennie, okazał nie małe na ich widok zdziwienie. Okiem nie był wstanie ich rozróżnić, kiedy wybornie rozróżniał dotykaniem.

Wyobraźmyż sobie teraz człowieka pozbawionego wszelkich zmysłów; czyż istota podobna, gdyby ją można nazwać człowiekiem, miałaby jakąkolwiek świadomość o zewnętrzności a nawet o wewnętrznym świecie innych istot? Człowiek taki pojmowałby zaledwie własne swoje wewnętrzne wrażenia, a jak wiadomo zamknięty tym obrębem nie wyszedłby po za sferę zwierzęcego życia.

Dla tego też śmiało możemy powiedzieć iż jedynemi niemal narzędziami umysłowego i społecznego życia człowieka—są *zmysły*, że te zmysły począwszy od ich zupełnego braku mogą znajdować się w różnym stanie wykształcenia, i tym sposobem warunkują większą lub mniejszą możność rozwinięcia władz duszy. Równomierne więc i wszechstronne wykształcenie zmysłów, winno być i jest jednem z najważniejszych zadań pedagogiki wieku niemowlęcego i dziecinnego, pedagogiki którą każda dbała matka, nauczycielka i każdy rozsądny nauczyciel zgłębić powinien.

Zobaczmy w jaki sposób odbywają się pierwsze zetknięcia dziecka ze światem zewnętrznym. Kolor, kształt przedmiotów uderzają wzrok dziecięcia, dźwięk działa na jego słuch, gładka albo chropawa, ciepła lub zimna powierzchnia daje się uczuć dotykaniu. Ze wszystkich tych wrażeń, dziecię tworzy sobie pojęcie o przedmiotach i ich własnościach i tym sposobem zwolna, niemal niewidocznie dochodzi do skompletowania swych wiadomości o świecie wewnętrznym, wiadomości i pojęć, które są pierwszym szczeblem do dalszych jego umysłowych zdobyczy.

Matki zwykle cieszą się niemało widokiem tych pierwszych oznak uwagi i budzącego się pojęcia w dzieciach, rade szczycą się dowodami pojętności i przyjmowania wrażeń umysłowych swych synów i córek—lecz rzadko kiedy pomyślą o sposobach przyjścia w pomoc tym istotkom w ciężkiéj pracy poznawania i rozróżniania zewnętrznego świata, rzadko kiedy znają lub pragną poznać skuteczne metody utrwalania tych wrażeń i kierowania niemi na właściwe drogi. A przecież łatwo każdy pojmie jak niezmiernie ważną jest rzeczą, aby umysł dziecięcia przedstawiający świeżą że się tak wyrazimy kartę, zapisanym został właściwemi i prawdziwemi znakami, to jest aby wrażenia zabierane przez zmysły, były zgodne z rzeczywistością. Wszelka bowiem pomyłka w tym względzie odbija się w dalszem rozwinięciu dziecka, czy to w błędnych jego pojęciach o przedmiotach, czyli też w kierunkach i dążeniach do zadość uczynienia pewnym wrażeniom. Natura zewnętrzna nie troszczy się w jaki sposób jéj widok wpływa nie na dziecię, nie stara się o uproszczenie i rozłożenie na części pojedyncze wrażeń, aby tym sposobem dopomódz dziecinnemu umysłowi w objęciu całości i zrozumieniu jéj w sposób właściwy. Starania te należą więc do matki, jeżeli nie chce pozwolić aby tłumnie i pomieszanie otrzymywane wrażenia, wzajemnie się znosiły, zostawiając w rezultacie umysłowi dziecka jakąś chaotyczną massę niejasnych pojęć, a częstokroć nawet zupełnie błędnych. Nadto taką massą jednocześnie bez żadnego systematu odebranych wrażeń zmęczony umysł dziecięcia, cofa się w połowie drogi i przyzwyczaja do powierzchownéj tylko pracy. Mniemania powyższe nie są wcale przesadnemi obawami pedagogów pragnących wszystko ująć w formułkę. Nic bardziéj wstrętnego dla nas jak owa chłodna metodyczność wychowania, ale prawd uznanych i dowiedzionych nie możemy zaprzeczać ani przeoczać, spotykamy bowiem mnóstwo ludzi którzy jakkolwiek posiadają najzdrowsze zmysły, lecz nie wyzyskali ich nietylko dla swego rozwoju umysłowego, ale i dla uczynie-



Tablica kolorów.

1. Czerwony 2. Żółty 3. Niebieski 4. Pomarańczowy 5. Zielony 6. Fioletowy 7. Szary.

nia sobie jasnego pojęcia o świecie zewnętrznym. A czyż bez tego możliwym jest rozwój pojęć i znajomości świata wewnętrznego?

Człowiek posiadający delikatne i wykształcone zmysły już tym samym zyskuje górę nad człowiekiem, którego zmysły są tępe, ograniczone. Pierwszy jest bez porównania przenikliwszym i roztropniejszym, głębiéj wnika we wszystko, a zatem w swych czynnościach jest stalszym i zasadniejszym, a w każdéj okoliczności umie lepiéj korzystać, wszystko go więcéj interesuje i przyjmuje współudział w tem, na co inni obojętnie spoglądają. Zgodziwszy się na to, zachodzi tylko pytanie jakim sposobem otrzymać skutek aby dziecko otrzymywało wrażenia pojedyncze, silne, od otaczającéj przyrody, która nie ulega przecież władzy matki. Prawda, przyroda nie jest tak uległą, ale w mocy umiejętnéj matki leży zwrócić uwagę swego dziecka na jedną lub drugą stronę wrażeń, i tym sposobem wyosobnić je umysłowi dziecka, za pośrednictwem zmysłów niemal pojedynczo przedstawić, a przez systematyczność w powtarzaniu w tymże umyśle utrwalić. Nadto matka przedstawiając dziecięciu cały szereg w pewnym porządku rozklasyfikowanych przedmiotów, wywołuje wrażenia podobne lub jednorodne, zmieniając zaś te wrażenia przyczynia się do ułatwienia porównań i rozwija nawyknienia w tym kierunku. Otóż właśnie to nawyknienie dziecięcia w prawidłowym używaniu zmysłów stanowi całą zasadę kształcenia zmysłów i przez zmysły umysłu.



...pradziad wasz wielkim był wojownikiem. (str. 241).

Zachodzi jeszcze pytanie czy podobnego rodzaju ćwiczenia w rzeczywistości mogą się przyczynić do wykształcenia zmysłów jako organów? Niezawodnie ciągłe ćwiczenia mogą się przyczynić do rozwinięcia muskułów, do rozwinięcia władz umysłowych, ale żeby wywierały wpływ na organa których działalność nie zależy od prawidłowości ustroju—to nie jest jeszcze dowiedzionem. Na to odpowiemy iż zadaniem ćwiczenia zmysłów nie jest poprawa działalności tych organów, ale raczéj utrzymanie ich w tym stanie w jakim daje nam je natura. Słabość zmysłów u większéj części ludzi nie jest przyczyną, ale następstwem wpływów szkodliwych, a przedewszystkiem małego takowych zmysłów ukształcenia. Dzicy *np:* otrzymują od natury w tymże samym stopniu delikatność zmysłów co i my, lecz otoczeni ciągle niebezpieczeństwami, rozwijają swe organa czuwania daleko silniéj, niż narody cywilizowane.

Podróżnicy bardzo często przytaczają trudne do uwierzenia przykłady bystrości wzroku, słuchu i delikatności powonienia. Mieszkańcy stepów odróżniają gatunek zwierzęcia w oddaleniu kilku wiorst, strzelcy w pierwotnych lasach oznaczają krzyk ptastwa lub zwierza, wtedy już, kiedy zwykły podróżnik zgoła nic nie słyszy. Humboldt twierdzi, iż Peruwianie rozróżniają po ciemku jedynie za pomocą powonienia rassę do której człowiek należy. Znawcy na winie odróżniają w niem rozmaite podrobienia i domieszki. Slepi zapomocą dotykania, mogą wyuczyć się czytać i w ogóle pozbawieni głównego zmysłu—wzro-

ku, w wysokiem stopniu kształcą inne organa czułości. Te przykłady, jak i przytoczone poprzednio dowodzą możliwości kształcenia się zmysłów—a skoro jest to możliwe i potrzebne — to nie jestże podobne ćwiczenie obowiązkiem zajmujących się wychowaniem dziecka, a przedewszystkiem matki jako głównéj, naturalnéj opiekunki? Kształcąc zmysły dziecięcia, nietylko że dajemy mu możność pełniejszego ich użycia w codziennym bycie, ale i z drugiéj strony ułatwiamy wychowanie. Jesteśmy najmocniéj przekonani iż szkólne nauki nierazby lepiéj poszły, gdyby do szkolnych ławek zasadzano dzieci już z rozwiniętemi zmysłami i do pewnego stopnia z wyrobionem pojęciem o wewnętrznym świecie. Przekonani głęboko o téj prawdzie, na którą zwracamy nawet uwagę matek i nauczycieli, chcemy podać kilka prawideł kształcenia wzroku, słuchu i dotykania. Zmysły smakowania i powonienia służą do uchronienia nas od szkodliwych pokarmów i gazów—jest to także rzecz ważna, jednakże w daleko mniejszym stopniu, a nadto wpoić może w dziecię zamiłowanie do zadość uczynienia uczuciom, jakie wywierają wytworne pokarmy, co niezawsze w praktycznem życiu może być pożytecznem. Dla tego też nie czynimy nacisku na ćwiczenia tych zmysłów podobnie jak wzroku, słuchu i dotykania. Raz jeszcze tylko przypominamy, iż podając główne zarysy metody, nie pragniemy wcale aby się stała ona foremką w którą duch dziecka wtłoczyć koniecznie należy. Jesteśmy nieprzyjaciołami bezwzględnéj systematyki, zacierającéj wszelki indywidualizm. Metoda ma być laską która służy do podparcia, ale nie paskiem, który hamuje każdy ruch swobodniejszy. Miłość macierzyńska i zastanowienie znajdą punk równowagi między metodyką a swobodą.

1. *Ćwiczenia wzroku.*

Każdy przedmiot przemawia przedewszystkiem do wzroku dziecięcia swym *kształtem* i *barwą*. Obie te własności charakteryzują przedmioty w różnym stopniu, to jest kształt bywa czasami wybitniejszy, barwa żywsza niż w innym razie. Tu więc już rozpoczynać się winno udzielenie pierwszéj pomocy dziecku w rozróżnieniu kształtów i kolorów. Zrobiemy jeszcze uwagę. Barwy wcześniéj i łatwiéj odróżniane są przez dzieci niż kształty—od nich więc naprzód ćwiczenia rozpocząć należy. Niewszyscy ludzie obdarzeni są w równym stopniu zdolnością rozróżniania kolorów. Bardzo często spotkać można osoby nie posiadające żadnéj wady wzrokowéj a nie będące jednak w stanie odróżnić koloru czerwonego od zielonego lub czarnego, nawet wtedy gdy przedmiota tak zabarwione, obok siebie ustawione lub ułożone zostaną. W Edinburgu robiono doświadczenia z 1154 osobami, i przekonano się, iż na każdych ośmnastu przypada jeden z podobnym niedostatkiem. Z pomiędzy nich jeden na 55 mieszał kolor zielony z czerwonym, jeden na 46 błękitnego od zielonego (1) nie rozróżniał.

Z trzech pierwotnych kolorów: czerwonego, żółtego i niebieskiego, najtrudniéj utwala się w praktyce oka (jeśli tak wolno się wyrazić) pierwszy, to jest czerwony. Jedni zupełnie go niespostrzegają poczytując za kolor czarny, drudzy mieszają go z zielonym. Ci którzy nie mogą rozróżnić koloru czerwonego, zwykle się także mylą, przyjmując fioletowy zamiast niebieskiego i nie biorąc pod uwagę czerwonego odcienia w oranżowym ten ostatni mieszają z żółtym. Dwie pozostałe barwy pierwotne żółta i niebieska łatwiéj się odróżnić dozwalają. Kolor zielony bardzo często poczytywany jest za czerwony, a częściéj za niebieski. Znakomity rzeźbiarz Bartolomeo nie posiadał władzy odróżniania koloru zielonego od malinowego, a zajmując się kolorowaniem przedmiotów częstokroć popadał skutkiem tego w oryginalne błędy.

Chemik Dalton na seryo był przekonany iż purpurowa peleryna którą nosił jako doktor prawa cywilnego w uniwersytecie Oksfordzkim, była koloru niebieskiego. O ile podobne zboczenia wzrokowe można ćwiczeniami naprawić trudno powiedzieć, sądząc jednak z tego że brak ucha muzykalnego nierozróżniającego tonów, daje się do pewnego stopnia usunąć, przez analogię możnaby wnieść że i ślepota na kolory również temu prawu podlega. Zresztą takie wypadki należą do wyjątków, a zwykle dzieci posiadają wzrok prawidłowy; jeżeli nie odznaczają się bystrością w rozróżnianiu kolorów, przyczyną tego brak właściwych ćwiczeń.

2. *Ćwiczenia w barwach.*

Odróżnienie trzech głównych barw: czerwonéj, żółtéj i niebieskiéj jest pierwszym stopniem ćwiczeń. W tym celu używają tak nazwanéj tablicy kolorów, kolorowe tekturki, papier kolorowy, kawałki sukna, kolorowe kamyki, szkła, liście, kwiaty, owoce, pióra, farby, kolorowe ołówki, i t. p. zabarwione przedmiota. Nauczycielka, bona lub co lepiéj matka, rozsypuje przed dziecięciem którekolwiek z powyżéj zacytowanych przedmiotów w trzech głównych kolorach; następnie pokazuje barwę czerwoną na tablicy i zachęca dziecko do wyszukania i ułożenia na kupkę wszystkich tego koloru przedmiotów. Kiedy dziecko wypełni żądanie co do koloru czerwonego, stawia się mu ono co do koloru żółtego i niebieskiego. Daléj przedstawia się dziecku jakikolwiek w tych trzech kolorach zabarwiony przedmiot, i poleca aby wskazało odpowiednią barwę na tablicy. W końcu rozdziela dziecię wszystkie przedmiota według

(1) Luis—Fizyologia życia codziennego.

jakiego wzoru lub rysunku w trzech kolorach malowanego a przedstawiającego figury proste. Używać *np:* można fasolli zabarwionéj na czerwono, żółto i niebiesko układając z téj fasolki różne figury do barw. Ćwiczenia te powtarzają się kilkadziesiąt razy w ciągu miesiąca i z wszelkiego rodzaju możliwemi zmianami, i ciągnąć je należy dotąd dopóki dzieci nie nabiorą zupełnéj wprawy w rozróżnianie trzech głównych kolorów.

Mieszanie barw i zapoznawanie dzieci z innemi kolorami: pomarańczowym (oranżowym) zielonym i fioletowym. W tym celu opierając się na trzech barwach głównych zapoznaje się dzieci z farbami uważając tylko aby między niemi nie było trujących. Skoro dziecię umie pędzelkiem rozprowadzać barwę niebieską i żółtą, wtedy dozwala mu się połączyć oba te kolory a przez to otrzyma się kolor zielony, który dziecię powinno wskazać na tablicy barw. Następnie z szeregu różnych kawałków kamyków i fasolek, listków, dziecię wybiera wszystkie zielone i składa je na jedną kupkę. Daléj miesza dziecię czerwoną farbę z żółtą i otrzymuje kolor pomarańczowy, czerwoną z niebieską i otrzymuje kolor fioletowy— z któremi jak przy zielonym odbywają się wszelkie ćwiczenia odnośnie do tablicy barw. Przy ćwiczeniach tych drugiego stopnia dobrze będzie powtarzać ćwiczenia z barwami głównemi, a to celem przypomnienia i urozmaicenia téj naukowéj zabawki.

Kiedy już dziecię nauczy się dokładnie rozróżniać tu barwy pomieszane na wszelki sposób, nauczycielka winna zwrócić jego uwagę na harmonijność i niezgodność kolorów. W tym celu można używać kwiatów układając z nich bukiety lub wijąc wianki czego się dzieci bardzo prędko i z wielką radością uczą. Wtedy to także należy korzystać z pierwszéj lepszéj okazji aby zwrócić uwagę dziecka na barwy tęczy. Dziecię widząc tęczę winno wymienić w porządku składające ją kolory poczynając od dołu: czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, niebieski i fioletowy.

Następnie rozkazuje się dziecięciu aby ułożyło takąż tęczę z kawałków kolorowych papieru, lub odmalowało ją pociągnięciami pędzelka. Jeżeli pod ręką znajdzie się pryzmat dobrze będzie za jego pośrednictwem wywołać sztuczną tęczę czyli widmo słoneczne. W tym celu zamykają się szczelnie okiennice i do ciemnego pokoju przez mały otworek wpuszcza się promień światła, który przecina się pryzmą, a na przeciwległéj ścianie ukazuje się tak nazwane widmo słoneczne czyli prostokąt, w którym można najdokładniéj rozróżnić wszystkie kolory w tym samym porządku jak w tęczy.

Bezwątpienia dziecię nie zadowoli się znajomością sześciu głównych barw, należy więc korzystać z tego, aby obznajmić dziecię z innemi przechodniemi kolorami. W tym celu dla ułatwienia pracy nauczycielkom podajemy klasyfikację i krótki opis kolorów.

Barwy których niepodobna otrzymać przez pomieszanie innych noszą nazwę *pierwotnych;* mieszanina dwóch pierwotnych wydaje kolor *drugorzędny,* dwóch drugorzędnych—*trzeciorzędny* i t. d. Prócz tego otrzymywać można mnóstwo innych barw że tak powiemy nie dość ściśle oznaczonych, już silniejszych już słabszych, a które też stałéj klasyfikacji niepodlegają.

Ten rozdział barw da się uwidocznić w następującéj tablicy:

Kolory pierwotne	— *kolory drugorzędne*
czerwony i żółty	dają pomarańczowy.
żółty i niebieski	„ zielony.
czerwony i niebieski	„ fioletowy.
Kolory drugorzędne	— *kolory trzeciorzędne*
pomarańczowy i zielony	dają cytrynowy.
zielony i fioletowy	„ oliwkowy
pomarańczowy i fioletowy	„ bury.

Odcieniami pierwotnych barw są: *a* czerwonego: karmazynowy, różowy, malinowy; *b* żółtego: chromowy, słomiany, ochrowy, szafranowy, cytrynowy; *c* niebieskiego: ultramarinowy najczystszy, indygowy ciemny, błękitny albo lazurowy.

Barwy drugorzędne posiadają także swe główne odcienia, *np:* pomarańczowy jest mieszaniną czerwonego z żółtem w równych częściach; mieszając trzy części żółtego z pięciu czerwonego, otrzymujemy kolor ciemniejszy; w tymże samym stosunku ale odwrotnie zmieszane barwy, dają kolor bursztynowy. Równe części żółtego z niebieskim dają czysty zielony, ale trzy części żółtego z ośmiu częściami niebieskiego dają kolor ciemno zielony. Mieszanina różowego koloru z błękitnym daje barwę lila i t. d. Mieszając równe części barwy zielonéj i pomarańczowéj, albo 2 żółtéj 1 czerwonéj i 1 niebieskiéj, otrzymujemy kolor *cytrynowy;* mieszanina kolorów czerwonego, żółtego i niebieskiego, we wszystkich możliwych stosunkach daje najrozmaitsze odcienia koloru burego, jak to: kasztanowaty, ceglasty, kawowy, sepiowy i t. d.

Wspomnieć tu nam jeszcze należy o tak zwanych kolorach skrajnych, to jest o białym i czerwonym. Pierwszy jak wiadomo jest połączeniem sześciu barw pierwotnych. Dla przekonania o tem dzieci, należy tablicę barw osadzić na korbie i puścić takową bardzo szybko w bieg, a w takim razie wzrok dziecka nie dojrzy nic więcéj jak tylko kolor biały. Czarna barwa jest dowodem braku wszelkiego koloru.

Na zakończenie tego ustępu o ćwiczeniu

w barwach, dodamy uwagę, iż dzieciom nie należy dawać do rąk naraz dużo farb malarskich, ale udzieliwszy kilka pierwotnych kolorów, znaglać tym sposobem aby sobie same tworzyły barwy następne. W takim tylko razie trzeba pilnować aby otrzymane barwy były ściśle zdeterminowane, nazwane i z odpowiedniemi na tablicy kolorów porównane. Na wykształcenie wzroku w tym względzie wpływa także rozpoznawanie barw w odległości.

W drugiéj części naszéj rozprawki przejdziemy sposoby ćwiczenia wzroku w ocenianiu rozległości położeń, wielkości i kształtu różnych przedmiotów.

DWIE POTĘGI

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlbach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

(Dokończenie).

— Prawda że słońce zaszło, ale ono znowu zabłyśnie! odpowiedział mu smutny głos z tyłu za nim, a gdy się Mayer Anzelm obrócił obaczył w otwartych drzwiach męzką postać starannie osłoniętą płaszczem.

— Coście za jedni? zapytał gospodarz podchodząc do nieznajomego. Jakim prawem weszliście tu bez pozwolenia i podchwytujecie moje słowa?

— Oddalcie służącego, panie baronie, mam z wami do pomówienia na osobności, odpowiedział nieznajomy tonem rozkazującym, i wszedł do pokoju.

Poznał zapewne ten głos Mayer Anzelm, gdyż nic nieodpowiadając oddalił służącego, zamknął za nim drzwi na klucz i powrócił do swego tajemniczego gościa, któren z westchnieniem okazującem wielkie znużenie usiadł na fotelu i oparł swą głowę o poręcz.

— Co widzę?!... Wy to jesteście miłościwy panie?! Sami jedni, piechotą!?... zapytał Mayer Anzelm ze współczuciem.

— Uciekam, sam jeden, odpowiedział nieznajomy, jestem głodny, zmęczony, dzień cały przeszedłem piechotą, dajcie mi co jeść Mayer Anzelm Rothszyld!

Gospodarz wybiegł z pokoju, przywołał żonę, szepnął jéj kilka słów na ucho, poczem oboje rozbiegli się do kuchni i do piwnicy.

Mayer Anzelm własnoręcznie znosił potrawy i nakrycie; zdawał się raczéj być sługą nieznajomego niżeli panem domu.

— Niech wasza Miłość raczy zdrowo pożywać, rzekł on z niejakiem uśmiechem, do drzemiącego z umęczenia gościa, podsuwając mu nakryty stół z potrawami.

Prędko wychylił tenże parę szklanek wina i wziął się do jedzenia.

Mayer Anzelm stał wprost swego gościa i spoglądał na jego ponurą i bladą twarz, różne myśli przesuwały mu się po głowie; gdy nagle nieznajomy spojrzał w górę i oczy tych dwóch mężów spotkały się.

— Czy wiesz Mayer Anzelm, rzekł że w téj chwili przyszły mi na myśl dawne czasy.

— Ja także o nich myślałem, miłościwy panie, odpowiedział Rothszyld.

— Przypomniałem sobie, jakeśmy to dziećmi jeszcze spotkali się po raz pierwszy. Pięćdziesiąt trzy lata mija od téj pory, a jeszcze mam was żywo przed oczami, jakeście z rozumnym i hardym wyrazem twarzy, stali przedemną, co mnie zarozumiałego chłopca niezmiernie gniewało. Zdaje mi się, że słyszę jeszcze głos wasz mówiący: A ja jestem Mayer Anzelm Rothszyld i rezyduję z moją matką na żydowskiéj ulicy w Frankfurcie, jeżeli kiedy będziecie potrzebować mojéj pomocy, to zgłoście się do mnie.

— Byłem wówczas bardzo zuchwałym, rzekł na to z uśmiechem bankier.

— O nie! o mnie to raczéj powiedzieć można, odrzekł Kurfirst. Może właśnie dla téj przyczyny, los tak zrządził, że nasze słowa sprawdziły się. Przyszedłem do was, Mayer Anzelm Rothszyld, wzywając waszéj pomocy.

— Wasza książęca mość wie dobrze, że w każdym czasie może rachować na moją gotowość.

— Wiem że jesteście prawym człowiekiem, i dla tego udaje się do was z zupełnem zaufaniem. Przypatrzcie się mnie, mówił daléj Kurfirst odsłaniając swój płaszcz, jestem przebrany za chłopa i tylko téj maskaradzie zawdzięczam moje życie. Francuzi wypędzili mnie i moich urzędników z kraju, osadzili moje miasta wojskiem, a Napoleon, wiedząc o mojéj nienawiści ku niemu, za jego zaborczą politykę, ogłosił tron mój dziedziczny wakującym. Moja rodzina uszła szczęśliwie do Danji, ja nie mogłem tak prędko pośpieszyć za niemi, musiałem wpierw zabezpieczyć mój własny majątek, kiedy mi już kraj zabrano.

Papiery zabieram z sobą, ale gotówkę, do któréj, jak wam wiadomo, tyle jestem przywiązany, tę gotówkę nie mogę z sobą zabrać. Spakowałem ją więc w wory ze zbożem, naładowałem niemi prosty wóz chłopski i sam przebrany za chłopa przywiozłem je tutaj. Wóz ten stoi przed waszemi drzwiami. Czy zechcecie Mayer Anzelmie Rothszyld przechować moje pieniądze?

— Dobrze mości książe, odpowiedział spokojnie bankier.

— Więc dajcie waszym ludziom rozkaz, poznosić te wory do tego pokoju; zostawiłem przy nich mojego zaufanego kamerdynera.

— Nie byłożby lepiéj, ażebym ja sam to uskutecznił?

— Niepodobna! Będą dla was za ciężkie. Wiedzcie że one zawierają w sobie trzy miljony w bitych luidorach i w sztabach złota. Ledwo pomieściłem tę summę w dwunastu workach.

— Trzy miljony! zawołał z żalem bankier, trudno mi będzie tyle pieniędzy przechować bezpiecznie.

— Ufam, że przy dobréj woli, to się wam uda, rzekł książe. Spieszcie się, Rothszyld; chciałbym już widzieć te wory w waszym ręku; poczem i ja muszę daléj ruszać w drogę

— W godzinę był ten ładunek zniesiony i dwanaście worów napełnionych luidorami i sztabami złota stały w mieszkaniu Mayer Anzelma.

Spojrzał po nich Kurfirst, jak kochanek rozstający się ze swoją najczulszą kochanką.

— Powierzam wam panie baronie Rothszyld, rzekł, to co na świecie jest najważniejszem i najpotrzebniejszem, to jest moje pieniądze. Jestem biednym zbiegiem, od was zależy ażebym nie był żebrakiem. Czy zgoda?

Mayer Anzelm położył obie ręce na złoto przed nim stojące i rzekł głosem uroczystym: Przysięgam na naszą starą bóżnicę, na Jehowę w niebie, na wszystko co mi jest świętem na ziemi, że przechowam i strzedz będę waszych pieniędzy, a gdyby i tego potrzeba było, życie moje oddam, dla ocalenia waszego majątku. Nadto przysięgam, że o całéj téj sprawie zachowam najgłębszą tajemnicę.

Po wyjściu Kurfirsta zamknął Mayer Anzelm drzwi na klucz, i gdyby Boruch Sznapper żył jeszcze i mieszkał jak dawniéj na przeciwko, obaczyłby światło w domu Rothszylda, brew zwyczajowi późno w noc widziałby na zawieszonych firankach nie spokojny cień swego zięcia, widziałby jak to światło spuszczało się coraz w niższe piętra domu, któremu nieodstępnie towarzyszył cień gospodarza, aż nakoniec ujrzałby światło w zakratowanych okienkach piwnic i jak ono tam świeciło się prawie noc całą.

Ale Boruch Sznapper dawno już się połączył z swojemi przodkami; tylko służący Rothszylda ździwił się nazajutrz obaczywszy odzienie swego pana powalane ziemią i pyłem, a jeszcze bardziéj gdy dostrzegł ślady wapna i gliny.

Mayer Anzelm dotrzymując danéj przysięgi nikomu niepowiadał o odwiedzinach uciekającego Kurfirsta; jednakże głuche wieści otym wypadku krążyły w mieście. Sąsiedzi widzieli jak się zatrzymał wóz przed mieszkaniem bankiera, widzieli z jakim wysileniem znoszono wory do domu, a ludzie do tego użyci opowiadali pod wielkim sekretem o ich niezwykłym ciężarze, twierdząc że w tych workach zboża nie było. Jak się to zwykle dzieje, zaczęto kombinować, porównywać różne wypadki, dość że prawda była po części odkryta, i wszędzie rozeszła się wiadomość, jakoby Kurfirst zdołał szczęśliwie uciec, a swoje miljony zawierzył Mayer Anzelmowi Rothszyldowi do przechowania. Nie na tym koniec, wiadomość o tym wypadku, przebiegając z ust do ust, wyleciała daleko w świat, po za obręb miasta, aż doszła do Francuzów nadciągających z Hanau, by zamienić stare, niemieckie, wolne miasto Frankfurth na rezydencję jakiego Wielkiego księcia, utworzonego z łaski Napoleona.

Czy mógł Frankfurt pomyśleć o obronie widząc wielkie kolumny francuzów, nadciągające z Hanau i Kassel? Nie pozostało miastu nic innego tylko zgodzić się ze swoim losem i poddać się.

To też się poddało. Francuzi zostali panami, a spokojni obywatele Frankfurtu, przebudziwszy się tego ranka jeszcze jako wolny naród Rzeszy niemieckiéj, ujrzeli się wieczorem poddanemi Wielkiego księcia, utworzonego z łaski Napoleona.

Jeden oddział tego wojska wszedł po południu na żydowską ulicę. Dowodzący oficer pytał gapiących się dzieci niezmiernie żdziwionych że tak piękne wojsko przyszło zwiedzić ich brudną ulicę czy nie wiedzą gdzie mieszka Mayer Anzelm Rothszyld, nadworny bankier Kurfirsta von Hessen.

Każden z téj gawiedzi znał ten dom aż nadto dobrze, to też jeden przed drugim pospieszył wskazać mieszkanie bankiera.

Mayer Anzelm siedział właśnie spokojnie w swoim gabinecie, porządkując tygodniowe rachunki gdy otworzyły się drzwi z trzaskiem i wbiegła blada, przestraszona Gudula.

— Mężu!... Francuzi weszli do naszego domu. Zajęli całą ulicę, osadzili podwórko, stoją na ganku i na schodach. Jesteśmy zgubieni! Pewno dowiedzieli się że Kurfirst był u ciebie i że......

— Milcz Gudulo! przerwał jéj mąż. Alboż nie widzisz że nie jesteśmy sami.

Wrzeczy saméj kilku oficerów weszło już do pokoju, a w otwartych drzwiach stało kilku żołnierzy z bronią na ramieniu.

— Mamy polecenie odebrać od pana te miljony, które wam były Kurfirst von Hessen powierzył do przechowania, rzekł dowódca.

— Nie przyjąłem żadnych miljonów od Kurfirsta von Hessen, odpowiedział spokojnie bankier.

Oficer zaśmiał się.

— Wzbraniasz się pan z wydaniem tych pieniędzy? Cesarz Napoleon rozkazał złożyć je Wielkiemu księciu Frankfurtskiemu. Mamy najsurowszy rozkaz wydostać je od pana.

— Nie wiem o żadnych miljonach, odpowiedział spokojnie Mayer Anzelm, Kurfirst von Hessen nie dał mi nic do przechowania.

— Wiemy z pewnością że detronizowany Kurfirst von Hessen złożył u pana swoje skarby, nie zaprzeczaj pan temu. Osobistą własność pańską będziemy szanować, nie mamy zamiaru pozbawiać go jego majątku; oddaj pan tylko to co do niego nie należy.

— Nie wiem o żadnych miljonach powtórzył Rothszyld.

— Ostrzegam pana! rzekł oficer podnosząc głos.

Widzisz pan że jego dom jest osadzony do koła, uzbrojeni żołnierze stoją we drzwiach. Na przypadek oporu mamy wyraźny rozkaz użyć gwałtownych środków. Nie mam potrzeby taić przed panem, że jeżeli tak dłużéj

jeszcze będziesz się opierał, wystawiasz na szwank swoje życie.

— Zgubiony!.... oni go zabiją!.... zawołała Gudula padając na kolana i wznosząc ręce do nieba.

— Mogą mnie zabić, odpowiedział spokojnie Mayer Anzelm, ale nie zmuszą mnie nigdy do wykazania tego czego nie wiem.

Na dany znak oficera weszło kilku żołnierzy do pokoju.

— Osadzić wszystkie drzwi i wejścia! Przetrząść cały dom od strychu aż do piwnic, nikogo z domu niewypuszczać, a wrazie oporu możecie użyć broni! Marsz!... Zrobić najściślejszą rewizję!

Panie! dodał zwracając do bankiera, powtarzam wam, że mam rozkaz użycia najgwałtowniejszych środków. Jeżeli pan nie wydasz tych miljonów, będę zmuszony rozstrzelać go jako zdrajcę politycznego, jako buntownika!

Na te słowa, Gudula z krzykiem podskoczyła do męża, objęła go za szyję i mocno przycisnęła do siebie.

— Mayer Anzelm!.. rzekła błagając, zlituj się nad twemi dziećmi! Ty niepowinieneś umrzeć, zachowaj twe życie dla nas!... Musisz uledz przemocy!... Nie masz prawa dla marnego kruszczu poświęcać życie!... O Boże, mój Boże!... Oni go zabiją!...

— Oni mnie zabiją, lecz umrę jako prawy człowiek, odpowiedział Mayer Anzelm z mocą. Pójdź do córek Gudulo, zawołaj do mnie synów!

— Niech się nikt nie waży wejść do tego pokoju, rzekł oficer, kazałem obwarować wszystkie drzwi, i każdy jest chwilowym więźniem w tem miejscu, gdzie go szyldwach zastał.

— Niech więc moje dzieci będą na chwilę więźniami, rzekł na to spokojnie Rothszyld; ty Gudulo zostań przy mnie aż do wykonania wyroku.

— Ja się będę modliła! wyjęknęła padając znowu na kolana nieszczęsna żona.

Nastąpiła wielka cisza.

We drzwiach stali żołnierze z bronią na ramieniu, oficerowie cofnęli się do okna.

Po niejakim czasie wszedł ordynans i zameldował że przeszukano cały strych i górne piętro i nigdzie nie znaleziono pieniędzy ani żadnych skarbów.

— Zawsze pan trwasz przy swoim zaprzeczaniu? zapytał dowódzca.

— Obstaję, odpowiedział z powagą Mayer Anzelm.

— Nawet kiedy panu powiem że nasze szpiegi i agenci donieśli nam za rzecz najpewniejszą że Kurfirst był u pana i że zostawił u niego swoje skarby?

— Nawet w takim razie.

— Ostatni raz przemawiam do pana. Wiedz, że przez swoje uporczywe milczenie wystawiasz nietylko siebie na śmierć niechybną, ale i swoich współwyznawców. Skoro tylko dobrowolnie nie wydasz nam tych miljonów sam, jak panu już oświadczyłem, będziesz rozstrzelany, a potem, wydam na łup moich żołnierzy całe to miasto żydowskie.

— Zlituj się Mayer Anzelm nad naszemi rodakami! szepnęła Gudula. Poddaj się przemocy!

— Czyż ja jéj nie ulegam, kiedy nawet życie moje poświęcam? odrzekł uroczyście Rothszyld.

— Ale zarazem i życie wielu waszych współwyznawców; pan to rozumiesz, że skoro zacznie się maroderka, fanatyzm przemieni ją rychło na rzeź formalną.

— O mój mężu! błagała Gudula, wspomniéj na cienie twoich rodziców; nie będą oni mieli spokoju w grobie, widząc iż syn ich był przyczyną nowych nieszczęść swego uciemiężonego ludu. Nie chciéj powiększać biedę i nędzę, w jakim i bez tego zostają nasi współwyznawcy! Jeżeli możesz, odwróć tę nową klęskę, zlituj się nad choremi, nad dziećmi i starcami; ocal swój lud!

Mayer Anzelm stał nieporuszony z zaciśniętemi wargami, blady jak śmierć; oczy jego rzucały smutny i badawczy wzrok przed siebie.

Znowu wszedł drugi żołnierz i doniósł że przeszukano dolne piętra domu, nic i tam nieznalazłszy.

— Udajcie się teraz do piwnic, rozkazał oficer. Wziąść z sobą oskardy i siekiery, wszystko przepatrzeć dokładnie, a gdybyście i tam nic nie znaleźli rewizja będzie skończoną!

— Mayer Anzelm! krzyknęła w rozpaczy jego żona, ratuj ojca moich dzieci, ratuj swój lud!

Mąż jéj powstał i westchnął głęboko; widać było po jego drgających rysach, że stoczył ostatnią wewnętrzną walkę z sobą. Na jego bladem czole zawisły wielkie krople potu, a gdy zaczął mówić, głos jego był głuchy jakby pochodził z grobu.

— Dobrze! rzekł, poddaję się. Bogiem się świadczę że nie mogłem dłużéj się opierać. Panie pułkowniku, zwołaj pan swoich ludzi, nie każ rujnować mego domu do szczętu. Proszę wydać stosowne rozkazy do opuszczenia mego mieszkania, oswobodzić moje dzieci, a ja zgadzam się wydać panu powierzone mi pieniądze.

— Nareszcie! zawołał dowódzca. Powiadam wam człowieku żeście jedną nogą już byli w grobie; miałem wyraźny rozkaz rozstrzelać was w razie oporu.

Prośby waszéj żony przemogły wasz upor i tym wyratowały was od śmierci. Panowie! zwrócił się do otaczających go oficerów, ogłoście żełnierzom że rewizja się skończyła; opuśćcie niezwłocznie ten dom i rozlokujcie się na ulicy, czekając dalszych rozkazów. Zostawić mi tylko wartę przy drzwiach.

Po wyjściu oficerów pułkownik rzekł do bankiera:

Teraz mój panie, dotrzymaj swojéj obietnicy. Proszę o niezwłoczne wydanie rzeczonéj summy.

Jeszcze raz westchnął Mayer Anzelm, jakby mu brakowało powietrza.

— Gudulo! rzekł łagodnie do swojéj żony, proszę cię, wyjdź do swego pokoju, nie będą

ci już zapewne bronić. Czekaj tam na mnie ze wszystkiemi dziećmi, jak tylko ułatwię się z tym panem, pośpieszę do was.

Posłuszna woli męża, wzięła podaną sobie jego rękę, przycisnęła ją mocno do ust, wzrokiem go tylko pożegnała, i wyszła milcząca z pokoju.

Mayer Anzelm przeczekał aż się drzwi za nią zamknęły zanim odważnym krokiem przeszedł przez pokój ku przeciwległéj ścianie. Zdjął z niéj wielki obraz zawieszony nad jego łóżkiem, za którym pokazały się małe żelazne drzwiczki, potem wyjął z zanadrza kluczyk i odemknął, a pułkownik ujrzał w murze wyrobioną niszę, napełnioną od góry workami złota i pieniędzmi papierowemi.

— Tutaj panie, odezwał się Mayer Anzelm, ledwo dosłyszanym głosem, znajduje się dwa miljony ośmkroćstotysięcy talarów, w bitéj monecie, w sztabach złota i w dobrych papierach.

Dwie godziny późniéj wszedł do sypialnego pokoju, gdzie zastał zebranych żonę, synów i córki.

Przywitał ich skinieniem głowy, a na jego twarzy malował się błogi pokój i dumne zadowolenie.

Stanął na środku pokoju, w majestatycznéj postawie, z głową podniesioną, jak go zwykli widzieć tylko w chwilach stanowczych.

— Synowie mego serca i mojéj miłości! ([1]) rzekł, kiedym was przypuszczał do współki w moich interesach, jakim słowem przemawiałem wówczas do każdego z was? Jakie zasady dałem wam, wedle których macie postępować w dalszym ciągu waszego życia? Odpowiadaj ty Anzelmie, w imieniu twoich braci. Jak brzmi to prawo jakie wam przekazałem?

— Wiernymi bądźcie względem siebie i względem tych, którzy wam zaufali, odpowiedział z powagą młody człowiek, trzymajcie się stale wiary waszych przodków; wytrwali bądźcie w pracy i w uczciwości. Dotrzymujcie święcie raz danego słowa, ażeby każden mógł na nim polegać jak na skale. Nie pogardzajcie najdrobniejszą kwotą poczciwie nabytą, odrzućcie największy zarobek, po którym musielibyście spuszczać oczy na głos sumienia. Takeście do nas mówili ojcze, mamy nadzieję, sam to nam przyznasz, iż staraliśmy się zastosować nasze życie i nasze czynności do twoich zasad.

— Również i ja się spodziewam, rzekł ich ojciec głosem ożywionym, że gdy przyjdzie ostatnia moja godzina, śmiało będę mógł wezwać was na świadków, że i ja także przez cały ciąg mojego życia, wiernie trzymałem się tych zasad i moje czynności do nich stosowałem. Moje dzieci! Pewien człowiek powierzył mi swoje pieniądze, przysięgłem mu na wszystkie świętości, że wiernie je przechowam, a wrazie potrzeby życie oddam na obronę jego własności.

Byłemże obowiązany dotrzynać mu słowa?

— Musieliście dotrzymać danego słowa, ojcze! zawołali jednogłośnie synowie.

— A gdybym nie mógł inaczéj ocalić jego mienia, jak oddając swój własny majątek natomiast, czy mogłem to zrobić?

Powinniście byli oddać wszystko swoje, ojcze, odpowiedzieli oni.

— Uczyniłem więc jak mi nakazywała powinność. Dotrzymałem danego słowa. Powierzone mi pieniądze ocaliłem, za to cały mój i wasz majątek, i wszystko czem dotąd prowadziliśmy nasze interessa... przepadło!

Jestem znowu jak dawniéj, ubogim!

— O nie mów tak, zawołała Gudula, a na jéj pomarszczonem czole zajaśniał promień młodocianéj miłości, nie mów tego, Mayer Anzelm, jesteś bogatym, gdyż jesteś prawym człowiekiem, masz żonę, synów i córki, którzy ciebie kochają i szanują, zostawisz dzieciom swoim zacne imię i czyste sumienie.

Mayer Anzelm przycisnął z radością żonę do piersi.

— Gudulo! rzekł, powtórzę ci dziś to samo, co ci powiedziałem niegdyś, kiedy byłaś jeszcze narzeczoną ubogiego komisanta Mayer Anzelma: jestem bogatym, bo serce twoje jest skarbem trwalszym od złota i drogich kamieni!... Dzieci moje! Postradaliśmy nasze bogactwa, ale pozostało nam zdrowie i siła. Zaczynajmy na nowo, weźmijmy się wspólnie do pracy, a Bóg nie odmówi nam Swego błogosławieństwa!

I Bóg błogosławił temu domowi!

Dom Rothszyldów wzrastał, kredyt jego nie zachwiał się ani na jeden moment. Nikt przecież nie wiedział że Mayer Anzelm postradał swój majątek, o tem się tylko dowiedziano, że on zmuszonym był oddać Francuzom powierzone sobie przez uciekającego Kurfirsta pieniądze. Nie brano mu tego za złe, każdemu było aż nadto wiadomem, że on uległ największéj przemocy.

V.

Zakończenie.

Czas biegł swoim torem, aż nadeszła godzina odwetu i powetowania krzywd, naród Niemiecki przyjął poddaństwo trzydziestuośmiu książąt panujących.

Po wygranéj bitwie pod Lipskiem powrócił i Kurfirst von Hessen do swego kraju, a mieszkańcy przyjęli go znowu za swego pana.

Jak tylko minęły pierwsze chwile powtórnéj swéj instalacji i przyjmowania wierno poddańczéj przysięgi, udał się Kurfirst do Frankfurtu i posłał niezwłocznie po bankiera Rothszylda, prosząc aby natychmiast przybył do niego naczelnik téj firmy.

([1]) W oryginale jest użyty w tem miejscu styl, jakiego dotąd używają tylko narody wschodnie—zapewne dla większéj obrazowości, a którego trudno było inaczej przełożyć. (przyp. tłumacza).

W kwadrans zameldowano księciu bankiera Anzelma Rothszylda, kazał go prosić a sam pobiegł do drzwi na spotkanie, lecz jakże się zdziwił gdy obaczył że to nie był znajomy mu Mayer Anzelm Rothszyld, lecz młody i wierny jego portret, człowiek najwięcéj lat czterdziestu.

— Kto pan jesteś? zapytał niecierpliwy Lurfirst, posłałem prosić mego bankiera Mayer Anzelma Rothszyld.

— Nie mógł na teraz usłuchać W. Ks. Mość. Bóg powołał go do siebie.

— Umarł!?

— Tak jest, umarł przedrokiem!

— Szkoda, był to zacny człowiek, rzekł smutno Kurfirst. Pokładałem w nim największą ufność, i nieraz tego dowiodłem. Bynajmniéj go nieobwiniam za niepomyślny rezultat mego zaufania. Dowiedziałem się od moich pełnomocników i agentów, że ojciec wasz mężnie się opierał i dopiero po bezskutecznéj obronie zmuszonym był wydać francuzkim rabusiom moje pieniądze. Postąpił jak przystało na uczciwego człowieka, przyznaję to, chociaż po jego śmierci; co się zaś tycze moich trzech milionów, dawno już przebolałem ich stratę. Nie dla tego więc posłałem do domu Rothszyld; pozostało mi z łaski Nieba jeszcze kilka milionów, i te chciałbym ulokować u waszego ojca. Lecz on nie żyje! szczerze go żałuję, gdyż jak powiedziałem był to zacny i prawy człowiek i nie jego to wina że moje trzy miljony przepadły.

— Miljony waszéj Wysokości nie zginęły, odpowiedział Anzelm Rothszyld uśmiechając się.

— Jakto!?... Alboż nieprawda że waszego ojca ograbiono?

— Jest to prawdą najczystszą. Lecz nasz ojciec przysiągł Waszéj Wysokości, wiernie przechować powierzone sobie pieniądze i danéj przysięgi nie złamał. Kiedy francuzi zagrozili mu śmiercią, oddał im własne pieniądze, tym sposobem ocalił miljony waszéj Wysokości.

— Więc naprawdę mój kapitał ocalał? zapytał uradowany Kurfirst.

— Dom handlowy Rothszyldów gotów jest każdéj chwili wypłacić na rozkaz Waszéj Wysokości, jego trzy miljony, wraz z zaległemi procentami, rachując od dnia przyjęcia téj summy.

Kurfirst spojrzał zdziwiony w spokojną i nieruchomą twarz bankiera.

— Wszystko? rzekł po chwili, mogliście przedemną wszystko zataić; a jednak wracacie mi mój kapitał wraz z procentami?

— To się rozumie, odpowiedział bankier. O jedno tylko uprasza dom Rothszyldów. Zważywszy nieszczęśliwe okoliczności pod jakiemi udało się naszemu ojcu ocalić te miljony, niech W. Ks. Mość nie wymaga od nas wypłaty procent od procentu, a kwotę tę zaliczy naszemu domowi jako wynagrodzenie za tyloletni zarząd Jego majątkiem. Zresztą ze wszystkiego gotowi jesteśmy zdać rachunek.

— Ale ja wcale nie mam zamiaru odebrać téj summy! zawołał Książe von Hessen. Panie bankierze Anzelmie Rothszyld; przyznaję że jesteście godnym synem waszego ojca. Już raz byłem zmuszony spuścić oczy przed waszym ojcem, nie mam ochoty powtórzyć to samo przed jego synem. Te trzy miljony zostaną nadal w waszym ręku, a o procentach proszę żeby ani mowy nie było; rachuj pan jakbyś w téj chwili dopiero odebrał odemnie ten kapitał i od dziś dnia będziemy obliczać procenta, z warunkiem że mi będziecie wypłacać połowę zwykle przyjętéj stopy.

— Prawdziwie... wasza Ks. Mość, nie wiem... czy mam przyjąć... taką ofiarę....

— Nie wspominaj pan o żadnéj ofierze, przerwał mu Kurfirst, gdyż inaczéj pokazałoby się że to raczéj Kurfirst von Hessen przyjął ofiarę od swego bankiera.

Te lata wygnania nauczyły mnie wielu nowych rzeczy, między innemi duma moja o wiele się zniżyła. Zobaczycie Mości książe pieniężny, że książe panujący umie być wdzięcznym; nie powstydzę się wyznać głośno przed światem ile wam jestem obowiązany.

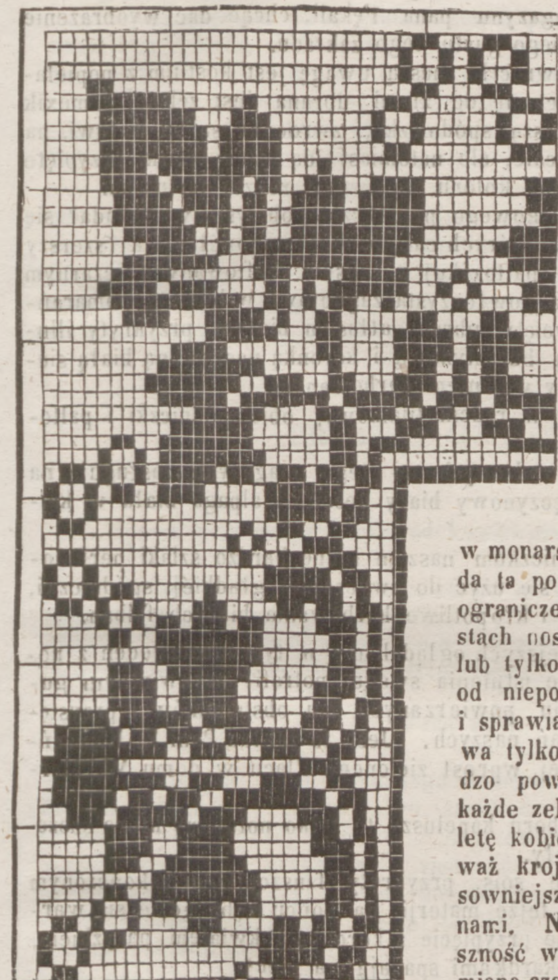
Kurfirst dotrzymał słowa bankierowi Rothszyldowi, głównemu agentowi swego dworu, którego późniéj wyniósł na godność heskiego ministra finansów.

Podczas zebrania wszystkich prawie monarchów i książąt w Wiedniu na kongresie, opowiadał Kurfirst von Hessen przy jednym obiedzie obecnym królom i książętom przygodę ze swemi trzema miljonami, unosząc się nad rzetelnością domu Rothszyldów. Ze zdumieniem słuchali monarchowie téj osobliwie historji i każden dobrowolnie oświadczył chęć wynagrodzenia i uczczenia takiéj bezprzykładnéj uczciwości.

Wszyscy panujący dotrzymali swojéj obietnicy.

Austrja nadała braciom Rothszyld tytuł barona. Prussy wyniosły ich na godność tajnych radców; inni ozdobili ich różnemi orderami; a wszyscy wielcy i mali książęta udawali się do domu Rothszyld ile razy potrzebowali pieniędzy, do tych książąt pieniężnych, o których wkrótce mówiono że więcéj mają przewagi na postanowienie wojny lub pokoju od nie jednego z książąt panujących.

Stara Gudula matka domu Rothszyldów, wierna swoim zasadom i woli męża, mieszkała zawsze w maleńkim domku na żydowskiéj ulicy, chociaż jéj synowie oddawna pobudowali sobie przepyszne pałace w różnych stolicach: w Wiedniu, w Paryżu, w Neapolu i w Londynie.



Deseń na siatkę.

O UBIORACH.

Tyle razy mówimy o sukniach powłóczystych czyli z ogonami, że warto się zastanowić kiedy kobiety rozsądne przyjąć powinny ten strój, ale kłopotliwy w użyciu i wiele przestrzeni wymagający. Wzór tego ubrania wyszedł z balów Tuilleryjskich od cesarzowéj Eugenji i wielkich pań francuzkich, rzeczą więc naturalną się zdaje, że przez kobiety miernego majątku i nie mające takich salonów, jakie są w monarszych i pańskich pałacach, moda ta powinna być przyjętą z wielkiem ograniczeniem. Upowszechnione po miastach noszenie na ulicy sukien krótkich lub tylko do ziemi, ocala wiele kobiet od niepotrzebnych wydatków *na ogon* i sprawia że w każdéj garderobie bywa tylko mniéj więcéj pare sukien bardzo powłóczystych; ale na wsi gdzie każde zebranie wywołuje większą toaletę kobiet, zdarza się inaczej. Ponieważ krój sukni powłóczystéj jest stosowniejszy, wszystkie niemal robią z ogonami. Niewygoda ztąd a nawet śmieszność według nas ogromna. Pod słomianą często strzechą brać suknię, która w ciasnocie tak zawadza! zamiatać nią nie równą, lub nie froterowaną posadzkę.! A choćby to nawet nie był domek maleńki ale pałac z wieżami, to jeszcze taki krój sukni niezmiernie swobodzie wiejskiego życia zawadza. Można mieć parę jedwabnych lub wełnianych strojniejszych tego rodzaju, lecz perkalowe z ogonem są niewymownie śmieszne, sam bowiem materjał już negliż wskazuje i krój *do ziemi* jest tu najstosowniejszy, młode zaś panienki będą daleko raźniéj tańczyć w sukience nie przesadzonéj długości, niż w takiéj, w któréj *ogon* z muślinu lub tarlatanu zdeptany, zmięty, a czę-

sto nawet i podarty, do jakiejś nie potrzebnie włóczącéj się szmaty staje się podobny.

Niestałość pogody jaka nas ciągle prześladuje jest powodem że na ulicach i spacerach niewiele rozmaitości się przedstawia w tualetach. Powracamy zatem raz jeszcze do magazynu pana Pękali, chcąc dać wyobrażenie Czytelniczkom naszym wytwornego gustu tego zakładu.

Pierwsze ubranie jakie zwróciło naszą uwagę jest kostium z popielatéj alpagi; spódniczka dotykająca się do ziemi ubrana jest zębami z mexik fularu, zęby te naśladujące krótszą spódniczkę, zwrócone są ku dołowi, na przednim brycie nie ma ich wcale, ale natomiast idą cztery pliski przypięte do dwóch brytów guzikami tegoż koloru, co tworzy rodzaj fartuszka.

Drugi kostium koloru piaskowego prześlicznie obmyślony, składał się z dwóch spódniczek i paltocika, których całą ozdobę stanowił szlak (szerszy na spódniczkach a węższy na paltociku) z kłosów haftowanych czarnym i pąsowym jedwabiem. Suknia powłóczysta żagnotowa w bukiety pomarańczowego koloru, stanik ma wycięty, ubrany atłasem białym, przykryty illuzyją białą i ozdobiony grelotką bursztynową i koronką naszywaną białą sieczką. Paltocik do tego ubrany wolantem karbowanym.

Kostium perkalowy biały w rzucik fijałkowy, obie spódniczki i paltonik ubrane perkalem fijałkowym.

Z nowych towarów sprowadzonych do tego magazynu zasługują na uwagę, alpaga fijałkowa w pajęczynowy biały deseń, i alpaga biała w kajdanki w różnym kolorze.

Również polecamy czytelniczkom naszym ładne bardzo szlaki perkalowe litografowane, które dadzą się użyć do zwyczajnéj gładkiéj spódniczki, zastępując zbyt kosztowne halki i kłopotliwe karbowania białych falban.

Oprócz magazynów dawniejszych oglądaliśmy w tym czasie jeden z nowszych który w krótkim czasie istnienia swego potrafił wykwintnym gustem, sumiennością w wykonaniu powierzanych mu obstalunków i przystępnością cen, zyskać wziętość pań naszych. Jest to zakład Pani Z. Kleczeńskiéj przy ulicy Marszałkowskiéj wprost zielonego Placu w domu W. Martwicha.

Z pomiędzy wielkiego doboru kapeluszy te tylko notujemy które szczególniejszą naszą uwagę zwróciły.

Kapelusz biały poult de sois, przykryty fanszonikiem zakończonym w ząb i oszytym warkoczem z tejże materji, na końcu zęba gdzie się warkocze krzyżują jest fantastyczne przypięcie z koronką i kwiatem paryzkiem, końce warkocza zakończone kokardkami spadają na plecy.

Kilka w kolorze Bismarck, w różnych odcieniach, mianowicie jeden bardzo ładny, ubrany jerzynką pąsową i suchemi listkami.

Z pomiędzy okrągłych najwięcéj są poszukiwane z płaskiemi główkami, ubrane gazą donna Marja, z długiemi końcami w kolorze Bismarck. Niepodobna jest wymienić wszystkie pomysły dobrego gustu jakie mieliśmy sposobność podziwiać w tym Magazynie, poprzestaniemy więc na wymienieniu kilku czepeczków i ubrań dla młodych osób.

Czepeczek oczepinowy z białéj illuzyi jedwabnéj otoczony warkoczem z tejże illuzyi, z długim welonem na kok spadającym, a przypiętem do czepeczka białą zroszoną różą. Drugi oczepinowy z białéj barbki któréj prześliczny deseń w fantastyczne kwiaty utworzył jakby wieniec w koło głowy,

z boku spada jeden długi koniec barbki mieszanéj z wstążeczką białą i szklistą konwalją która dziś jest bardzo używana.

Czepeczek czarny z illuzji, welonik ukośny przypięty nad czołem lilją białą paryzką.

Suknia czarna gros grains, stanik pod szyję zachodzący ubrany był axamitem i białą jedwabną kluny w karo, paletocik z tejże materyi suto haftowany w palmy dżetem i oszyty grelotką.

Suknia jedwabna lapis, przystrojona axamitką lapis w ciemniejszym znacznie odcieniu z białą kluny,ta miała przód spódnicy przybrany w guście fartuszka dziś bardzo używanego.

Suknia popielata alpagowa dla młodéj panienki, ze stanikiem wyciętym mocno do białéj bluzki, w miejscu rękawów jest tylko mały ranwers, w koło gorsu berta, która również jak szarfa i ranwersa oszyta jest materją zieloną w bardzo ładnym kolorze i grelotką z granatek czarnych i kryształowych, pod spód szła bluzka batystowa z kluny koronką, podwleczona wstążką z odpowiednim kolorem zielonym.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Sposób uchronienia mleka od kwaśnienia i od ważenia się (w lecie).

Sposób ten polega na tem, że do naczynia napełnionego mlekiem kładzie się łyżkę dzikiego chrzanu. Tym sposobem może być mleko przez kilka dni świeżo zachowane i nie ulegnie zepsuciu, choćby na powietrze było przez dość długi czas wystawionem.

Woda imbierowa.

Wziąść pół funta usiekanego imbieru, pół funta kremortartari, sześć funtów drobno porąbanego cukru, sześć drobno pokrajanych cytryn, włożyć to wszystko do sporéj beczułki. Zagotować sześć garncy wody, zalać nią wyżéj wymienione przyprawy i zostawić do ostudzenia; natenczas wlać 12 łyżek dobrych drożdży, a skoro się dobrze wychłodzi jak piwo, zlać do butelek dodawszy do każdéj butelki po dwie rodzenki duże i zakorkowawszy mocno wstawić do piwnicy.

Przechowywanie melonów bardzo długo.

Z gatunków zimowych nie zupełnie dojrzałe biorąc, układać je w beczkach przesypując suchym popiołem, tak aby się owoce ścian naczynia ani jego dna nie dotykały ale grubo od nich popiołem przedzielone były, na wierzch także grubo popiołu nasypać, aż do dopełnienia beczki, wtenczas dno w niej zabić, zasmolić naokoło i postawić w miejscu suchym i chłodnem, tam naprzykład gdzie się owoce przechowują albo w piwnicy zakopać.

Po kilka sztuk w jednéj baryłce kłaść nie wypada, bo oprócz tego że wyższe warstwy naciskałyby i psuły niższe, jeszczeby się te owoce prędko psuć zaczęły po odkryciu i poruszeniu popiołu.

Komput z melona.

Kawał dojrzały melona obrać ze skóry i pokrajać w kawałki. Zagotować dość gęsty ulep z pół funta cukru, zalać gorącym ułożony zdrabnie melon, a skoro ostygnie, używać.

Pączki.

Do pół garnca mąki, pół kwarty mleka letniego, pół filiżanki drożdży dobrych, rozbić to żeby dobrze wyrosło, potem bierze się żółtek 20 dobrze ubitych, masła klarowanego pół filiżanki, cukru podług gustu, cytrynowéj skórki, to wszystko w ciasto wyrośnięte wmieszać i bić dotąd, dopoki od łyżki nie odstanie, postawić w cieple żeby dobrze wyrosło, po wyrośnięciu pączki jak najrychléj robić żeby ciasto nieopadło, na stolnicy mają wyrość, a w końcu kładzie się do wierzchu w rądel tą stroną która była do stolnicy.

Faworki czyli chrust.

Bierze się najpiękniejszéj mąki na stolnicę i do niéj miesza się 8 żołtek lub 12, z trzech jaj białka na piankę, cukru co się podoba, araku troszkę, masła przetopionego troszkę, cytrynowéj skórki, z kiliszek śmietanki, i to wszystko gniecie się aż ciasto będzie twarde i dobrze wygniecione robi się chruścik i smaży. (lecz zawsze lepszy kiedy postoi przez dni kilka na piecu).

Konfitury z ogórków.

Bierze się dwanaście ogórków dużych nasienników, obiera się, przekrawa na połowę, wydrąża się pestki, kraje dość spore kawałki, następnie robi się syrop z trzech funtów cukru, za trzy grosze cynamonu i za trzy grosze goździków, kiedy syrop się gotuje, wrzucają się ogórki i dusi dopóki ogórki nie zmiękną zupełnie.

Krem śmietanowy.

Wziąść najlepszéj śmietany kwartę, rozbić ją w garnku glinianym o tyle żeby nie była bardzo gęsta, wziąść 8 białek, dodać cukru do upodobania i bić tę pianę razem ze śmietaną tak długo aż zgęstnieje zupełnie. Poczem wynieść do piwnicy żeby tak stała godzinę przed wydaniem na stół.

Legumina cytrynowa.

Wziąść jedną cytrynę, włożyć ją w garnek kwaterkowy, nalać wodą i tak długo gotować aby była miękką, następnie włożyć ją w donicę, rozetrzyć na massę, dodać dziewięć żółtek, białka zaś pozostałe ubić na pianę, włożyć do żółtek, dodać do tego kubek mąki przesianéj, cukru do upodobania, wymięszawszy to wszystko wysmarować rądel masłem i bułeczką osypać, włożyć ciasto w ten rądel i upiec, legumina ta potrzebnje godzinę czasu.